



# Żona to 10. szczyt Korony Ziemi

Z Januszem Kochońskim, polskim rekordzistą w zdobyciu Korony Ziemi, rozmawia Jakub Terakowski

Jeszcze do niedawna był Pan lepiej znany w środowisku żeglarzy niż wspinaczy...

Znany? Bez przesady. Żeglowałem rekreacyjnie, ze znajomymi, teraz już brakuje mi na to czasu.

Czyli nie ma Pan na swoim koncie żeglarskiego odpowiednika górskiej Korony Ziemi?

Nie, ponieważ zawsze pływała ze mną żona, a nie dla niej takie długie rejsy.

Najwyższe szczyty zdobywał Pan bez małżonki?

Zaprosiłem ją na Kilimandżaro, ale nie wyszło, poddała się. Powiedziała, że ma inne pasje.

Pana chyba też góry pasjonują od niedawna?

Najwyższe? Od ponad roku.

Skąd zatem pomysł na zdobycie Korony Ziemi?

Sam nie wiem. Wchodziłem na kolejne wierzchołki, nie miałem z tym problemów, więc postanowiłem skompletować zbiór. Dysponowałem czasem i środkami, czego potrzeba więcej?

Może umiejętności, kondycji?

Drogi, które wybierałem, nie były trudne technicznie. A na kondycję nie narzekam, dużo pływam, to moja ulubiona dyscyplina sportu, na basenie spędzam przynajmniej sześć godzin tygodniowo. Bez trudu przepływam kraulem kilka kilometrów non stop. Trenuję też spinning [ćwiczenia na rowerze stacjonarnym - red.].

W żaden dodatkowy, specjalny sposób nie przygotowują się Pan do zdobycia Korony?

Mieszkam w pagórkowatym rejonie. Codziennie biegam po okolicy 10, 15 kilometrów - lekko, niezbyt szybko, ale bez przerwy. Przed Koroną trenowałem średnio 60 godzin tygodniowo.

A jakie miał Pan wcześniejsze doświadczenie górskie?

Skromne. W młodości dużo wędrowałem po Beskidach, a później, już podczas rejsów - gdy schodziliśmy gdzieś z pokładu na dłu-

żej - zdobywałem pobliskie wierzchołki. Byłem więc na Chimborazo, Alpamayo, Coto-paxi, ale pierwszej perły w Koronie Ziemi dotknąłem zaledwie trzy lata temu, podczas wyprawy z żoną na Kilimandżaro. W ubiegłym roku, już kompletując Koronę, zdobyłem dach Afryki ponownie.

Zamiast doświadczenia wymienił Pan czas i środki. Skąd zatem miał Pan tyle czasu?

Zrezygnowałem z żeglarstwa. Nota bene bez żalu, bo zaczynało mnie już nużyć. Dni na oceanie bywają niekiedy tak monotonne, że trudno odróżnić jeden od drugiego. Na jachcie brakowało mi dynamiki i wyzwań, więc postanowiłem sprawdzić w górach, na co mnie jeszcze w wieku 50 lat stać.

A urlop, praca, etat?

Mam własną firmę, jestem deweloperem. Mogę więc tak zaplanować obowiązki, aby na wyjazd też znaleźć czas.

Zostały nam jeszcze środki...

Wszystkie wydatki sfinansowałem sam. Nie szukałem sponsorów, bo to zajmuje za dużo czasu, a sprostac ich wymaganiom może być trudniej, niż zdobyć Koronę Ziemi. Cenię sobie niezależność.

Ile Pana kosztowała ta Korona?

Najdroższe były Vinson oraz Everest. Koszty zależą od wyboru agencji. Na Everest można wejść za 28 tysięcy dolarów, ale można też za dwukrotnie więcej. To zależy od tego, czy ważniejsze są dla nas oszczędności, czy bezpieczeństwo, jakość usług, dobry sprzęt, najlepší przewodnicy i prawdopodobieństwo zdobycia szczytu.

A Panu zależało na jakości?

Zdecydowanie. Bezpieczeństwo i najwyższa szansa na realizację celu są dla mnie w górach najważniejsze. Podobnie zresztą jak w żeglarstwie czy na rynku nieruchomości... *(śmiech)*

Pierwszy był Mount Vinson. Już wtedy planował Pan wejście na pozostałe szczyty?

Tak, bo chciałem zrobić coś ambitnego i ciekawego, a w moim wieku nie należy odkładać realizacji takich planów na zbyt długo. Czułem się świetnie, miałem wizję, więc postanowiłem spróbować.

I już wtedy zamierzał Pan pobić rekord Polski?

Nie, o rekordowym czasie nie miałem wówczas pojęcia. To podpowiedział mi dopiero Robert Rozmus z Klubu Annapurna. Nie chciałem błyszczeć, epatować wynikiem, lecz sprawdzić, czy z pięćdziesiątką na karku mogę jeszcze zadebiutować w wysokich górach.

Kontynentów jest siedem, a Pan zdobył szczytów dziewięć...

Bo cztery są sporne... Według niektórych źródeł najwyższym szczytem Europy jest Mont Blanc, a według innych Elbrus. Podobnie jest w przypadku Góry Kościuszki i Piramidy Carstensa, jeśli chodzi o Australię i Oceanię. Aby więc uniknąć dyskusji i aby nikt nie zakwestionował mojego wyniku, zdobyłem - na wszelki wypadek - wszystkie te wierzchołki.

Kolejność w Koronie była przypadkowa?

Chronologia wynikała z sezonowości. Na niektóre szczyty można lub najłatwiej jest wejść tylko w ściśle określonym terminie. Decydujący jest tu Mount Vinson, dostępny praktycznie przez zaledwie jeden miesiąc w roku, na przełomie grudnia i stycznia. Zaczynałem kompletować Koronę w styczniu, więc naturalną kolejną rzeczą Vinson był pierwszy. Potem swobodą wyboru terminu miałem już nieco większą, następne więc były: Everest, Denali, Carstensz, Elbrus, Mont Blanc, Kilimandżaro, Góra Kościuszki, a jako ostatnią zdobyłem Aconcaguę. O takim układzie zdecydowała oferta agencji, z któ-

rych usług korzystałem. Nad wszystkim czuwał Robert Rozmus; to on wybierał firmy, koordynował terminy, organizował wyjazdy. Ja nie miałem na to czasu, do mnie należało „tylko” zdobywanie kolejnych szczytów. Robert zadbał też o to, abym zdążył w rok. Na wszystkie góry wszedłem z grupami zorganizowanymi przez agencje. Szczególnie polecam rosyjską Seven Summit. Kupiłem sobie u nich doświadczenie, którego brak mi Pan wytknął.

Najtrudniejsze wierzchołki były więc na początku. To przypadek czy też świadomie nie chciał Pan ryzykować porażki, zostawiając Everest na koniec?

- w przeciwieństwie do Martyny Wojciechowskiej - nie skorzystałem ze śmigłowca lądującego pod wierzchołkiem. Wędrowaliśmy więc przez 10 dni non stop w deszczu. Wilgotność była niewyobrażalna, nic nie schło. Mokrą miałem nawet zapasową bieleznię, zamkniętą w hermetycznych workach. Kalosze ściągałem tylko na noc, bo błoto jest tam tak grzaskie i głębokie, że wlewa się górą do środka. Do tego chaszcze, robactwo i przeprawy przez strumienie po oślizgłych pniach.

Carstensz był więc dla mnie najmniej przyjemny, ale nie najtrudniejszy. Wierzcho-

Aaa  
aa

Przypadek. Gdybym wyruszył po Koronę w innym terminie, to i kolejność byłaby inna.

Który ze szczytów był najtrudniejszy?

Może Piramida Carstensa? Naczytałem się o niej okropnych historii... Wspinaczka miała być karkołomna, ale akurat tego jakoś nie zauważyłem. Dla mnie największym utrapieniem było przejście przez dżunglę, bo

łek zdobyłem zaskakująco szybko. Do podszczytowej bazy dotarliśmy wieczorem, nikt nie chciał iść dalej po ciemku, lecz namówiłem dwie najsilniejsze osoby i z dwójką przewodników udało nam się wejść na szczyt jeszcze tego samego dnia. Wszystkie góry zdobywałem od ich podstawy. Mój ostatni szczyt w Koronie - Aconcagua - też stanowczo bronił się przed zdobyciem. ►



Aaaaaaa aaaaaa Aaaaaaa  
aaaaaaAaaaaaa

Aaaaaaaa aaaaaa Aaaaaaaa  
aaaaaaAaaaaaaa

Warunki były tam bardzo trudne. Spośród 30 osób zgromadzonych w bazie na wierzchołku stanęły wówczas tylko trzy, w tym ja. Prędkość wiatru przekraczała 80 kilometrów na godzinę, a tam przewodnicy nie wychodzą na szlak już powyżej 70. Mój jednak wiedział, że zależy mi na czasie, i zgodził się ryzykować.

**A jak się Pan czuł na Evereście? Żeglarz, nagle z poziomu morza, na ośmiu tysiącach metrów?**

Czułem się świetnie. Do tego stopnia, że dwukrotnie „zgubiłem” Szerpę, musiałem czekać na niego na szczycie oraz schodząc do obozu pierwszego. Zużyłem też mniej tlenu, niż powinienem. Zastanawiałem się nawet nad rezygnacją z butli, ale uznałem, że taki „wybryk” mógłby zagrozić realizacji dalszej części planu. Everest zabrał mi najwięcej czasu. Cała wyprawa trwała blisko miesiąc, ale wspominam ją znakomicie. Zespół był doskonale dobrany, organizacja perfekcyjna, a jedzenie wyśmienite. Wprawdzie z powodu wysiłku schudłem 12 kilogramów, lecz tam każdy traci wagę, nie ma na to rady. **Technicznie Everest też nie był trudny?**

Niektóre odcinki owszem, zmuszały do wysiłku, trochę kłopotów sprawiły mi poręczówki i drabiny, ale najbardziej stresujący był lęk przed zgubieniem raków. Najtrudniejszy, lecz z innych względów, był dla mnie McKinley, nazywany obecnie Denali. To jedyny szczyt, który zdobyłem z polską grupą. Jednym z uczestników był Ryszard z Warszawy. Chłop uparł się, że wejdzie na wierzchołek, choć ewidentnie brakowało mu sił. Doszedł do 6000 metrów n.p.m., gdzie niemal wyzionął ducha. Schodziłem już, gdy przewodnik dał znać przez radio, że Ryszard potrzebuje pomocy i trzeba go sprowadzić. Próbowaliśmy, ale w połowie drogi stwierdził, że dalej nie pójdzie, bo musi się zdrzemnąć. Mróz był siarczysty, wiał bardzo silny wiatr, nie mogliśmy pozwolić mu na sen. Po długich pertraktacjach i delikatną przemocą udało nam się sprowadzić nieszczęśnika do bazy.

**Nie było Panu zimno na Antarktydzie, kiedy zdobywał Pan Mount Vinson?**

To najpiękniejsze miejsce na świecie, jakie widziałem. Urok bardziej zapierał mi tam dech w piersiach niż mróz. Cóż, minus 30 stopni Celsjusza przy słonecznej, bezwietrznej pogodzie i w odpowiednim ubraniu można nawet przeoczyć... *(śmiech)* Przyznaję jednak, że miałem tam wyjątkowe szczęście do aury, znacznie bardziej zmarłem na Denali. Vinson natomiast jest najbardziej niedostępną z pereł w Koronie z racji odległości. Już samo dotarcie na Antarktydę stanowi nie lada wyzwanie logistyczne oraz... finansowe. W bazie pod Mount Vinson rozminąłem się z Moniką Witkowską, która właśnie kończyła zdobywać Koronę Ziemi.

**Dokładnie w momencie, gdy Pan zaczynał?**

Tak. W ogóle zauważyłem, że środowisko osób realizujących jakieś swoje pomysły w wysokich górach jest zaskakująco małe. Wielokrotnie spotykałem tych samych ludzi na kolejnych wyprawach.

**Również Polaków?**

Nie, poza Moniką i grupą na Denali. **Celowo nie informował Pan wcześniej o zamiarze zdobycia Korony w rekordowo krótkim czasie? Chciał Pan uniknąć rywalizacji?** Koronę zdobyłem sam dla siebie, nie znajdując upodobania w rywalizacji. Po jej skompletowaniu też nie zamierzałem nikogo o tym zawiadamiać, lecz Klub Annapurna, z przyczyn wizerunkowych, poprosił mnie o zgodę na publikację tej informacji. Nie miałem nic przeciwko temu, bo specjalnie ukrywać się też nie planowałem. Podobno jestem dwudziestym pierwszym Polakiem z Koroną Ziemi.

**A pamięta Pan pierwszą zdobytą w swoim życiu górę?**

Z pewnością był to jeden z beskidzkich szczytów, ale który? Nie pomnę.

**Zatem które z polskich gór lubi Pan najbardziej?**

Karkonosze. Na Śnieżce i Szrenicy byłem dziesiątki razy, to moje ulubione miejsca. Nawet żona bardzo chętnie wybiera się tam ze mną. W studenckich czasach dużo wędrowałem po górach, później wpadłem w pracoholizm. Dopiero żeglarstwo mnie wyzwoliło.

**Gdzie popłynął Pan najdalej?**

Na Polinezję Francuską. Marzyłem o rejsie dookoła świata. Było nas trzech. Znaleźliśmy jacht, wszystko udało się zorganizować, ale nasze żony nie wyraziły zgody. „Panowie, w tym wieku? Opamiętajcie się! A co z pracą, rodziną, obowiązkami?” – mówiły. Przez rok próbowaliśmy je przekonać... Nadaremnie.

**A do Korony Ziemi żona nie miała zastrzeżeń?**

Na początku nawet słyszeć o tym nie chciała. „To zbyt niebezpieczne” – mówiła. Wie Pan, jak to jest z żonami... Ale kropla drąży skałę... Rozmawiałem, tłumaczyłem, podrzucałem książki o górach... I udało się. „Jedź, jeżeli o tym marzysz” – powiedziała. Ale przekonanie żony było trudniejsze niż zdobycie Korony Ziemi, to mój dziesiąty szczyt. *(śmiech)* Teraz jednak małżonka znacznie łaskawszym okiem patrzy na góry. Mówi, że zmieniły mnie na korzyść, podobno łatwiej się teraz ze mną dogadać. Warto było zdobyć Koronę Ziemi, aby po 30 latach małżeństwa usłyszeć taki komplement... *(śmiech)*

**Może Pan więc planować następne wyprawy?**

Mogę.

**Co zatem jest w planach?**

Wybieram się na Antarktydę. I na tym przestańmy. Wolę mówić o tym, co już mi się udało, niż o tym, co dopiero planuję. ■

#### Janusz Kochański



Ma 53 lata, mieszka w Głogoczowie, z wykształcenia technik budowlany, jest współwłaścicielem firmy deweloperskiej. Ma żonę, dwójkę dorosłych dzieci, wnuka oraz pięć psów. W 2016 r. zdobył 9 szczytów Korony Ziemi w 11 miesięcy, ustanawiając rekord Polski w jej skompletowaniu: 6 stycznia – Mount Vinson, 21 maja – Mount Everest, 12 czerwca – Denali, 7 lipca – Piramida Carstensz, 2 sierpnia – Elbrus, 19 sierpnia – Mont Blanc, 18 października – Kilimandżaro, 1 listopada – Góra Kościuszki, 6 grudnia – Aconcagua.

#### Jakub Terakowski



Był na wszystkich kontynentach, Polskę przeszedł z Gdańska na Rysy i ze Świnoujścia na Hel (wielokrotnie). Wytyczył Ekstremalny Szlak Szarłotek Tatrańskich. Mieszka w Krakowie i Gdańsku, więc nie wszystko, co kocha, jest w górach...